

Wzorzec, Karolina Głogowska

Barbara Modra patrzyła, jak technik rozkłada w mieszkaniu ścieżki podejściowe z białych płacht papieru.

Prokurator wyjątkowo nikogo nie poganiała. I tak nie mogła się skupić na pracy. Najchętniej zjechałaby windą na sam dół, wsiadła do samochodu i pojechała gdzieś bardzo daleko. W góry albo do Puszczy Białowieskiej. Nigdy nie była w Białowieży. Za to pierwszy raz w życiu nienawidziła swojego zawodu. No, może drugi. Wcześniej poczuła to samo, kiedy „oddelegowali” ją niby na dwa miesiące z okręgowej do rejonówki. Pół roku temu. Nic nie zapowiadało, żeby jej zesłanie miało się skończyć. Wręcz przeciwnie, to był dopiero początek.

– Pani prokurator...

Technik dał jej do zrozumienia, że można rozpocząć czynności. Modra ocknęła się i weszła do przedpokoju. Czerwone szpilki wbijały się w papier, robiąc w nim dziury. Zdjęła je i włożyła na stopy ochraniacze, a na błękitną garsonkę naciągnęła biały kombinezon.

– Gdzie młoda? – Modra zwróciła się do Dymka, policjanta, który jako pierwszy przybył na miejsce zdarzenia i zdążył już porozmawiać z kilkoma sąsiadami.

– Napisała, że jest w drodze.

– Nie mam całego dnia – mruknęła Modra, a widząc, że policjant zastanawia się, czy ta uwaga jest skierowana do niego, ponagliła: – Mów, Dymek, mów.

– Mężczyzna, Hinz Adam, lat trzydzieści pięć. Dziś koło południa znalazła go żona. Albo była żona... – Dymek sprawdzał w notatkach. – Chyba są... byli w trakcie rozwodu.

– Nie mieszkali razem?

– Nie. Kilka miesięcy temu denat wyprowadził się z ich mieszkania na Zakopiańskiej.

– Miała klucze?

– Nie. Twierdzi, że drzwi były otwarte, więc weszła.

– No ale co, tak w poniedziałek rano postanowiła zajść do byłego męża? – niecierpliwiła się Modra.

Dymek patrzył na prokuratorkę dziwnym wzrokiem. Może dlatego, że rzadko widywał ją tak rozkojarzoną i zirytowaną. Koledzy nazywali ją królową lodu. Była posągowa, chłodna i zazwyczaj przesadnie opanowana.

– Jezu, co, Dymek, mów.

– Hinz miał się dziś spotkać z dziećmi. Jego żona przyszła tutaj z nimi.

– Kurwa. Widziały go?

– Podobno nie. Ale ona wpadła w histerię.

Modra rozejrzała się po zdemolowanej sypialni. Rozbita szyba w drzwiach, oberwana do połowy zasłona w oknie, postrącane z półek książki, przewrócona lampa. Wszystko, łącznie z pościelą, meblami i ścianami, upstrzone krwią. W tym mocno sugestywnym otoczeniu leżał na podłodze martwy mężczyzna w szarych, dresowych spodniach. Wyglądało to tak, jakby usiadł, oparł się plecami o brzeg łóżka, zasnął, a potem się osunął. Na jego szyi widniała szeroka na niecałe dwa centymetry, nierówna bruzda. Błady róż przechodził w brąz, w niektórych miejscach stawał się wiśniowy.

– Raczej się nie powiesił... – rozmyślał na głos Dymek. Nigdzie nie widać pętli, no i ta jatka... – Policjant znowu rozejrzał się dookoła. Ktoś spuścił mu niezłe manto. Chyba próbował uciekać, bo krew jest nawet na klamkach...

– Tak, a na nim? – zapytała mrukliwym głosem prokurator.

Dymek zamilkł zdezorientowany. Na ciele denata odznaczały się czerwone ślady, zastygłe, bordowe krople i maźnięcia, ale oprócz wgłębienia na szyi faktycznie nie było widać żadnej rany.

– Krew w pomieszczeniu raczej nie należy do denata – stwierdziła ponuro Modra. Chciała stąd wyjść, od dłuższego czasu czuła mdłości, ale nie ze względu na zastany widok. – Pani doktor Szołkiewicz nam to zresztą wszystko zaraz wyjaśni. Mam nadzieję, że nie oderwaliśmy od lunchu?

Do mieszkania weszła młoda kobieta z wysoko związanym kucykiem, prosto ściętą grzywką i okularach w okrągłych, przezroczystych oprawkach. Całkowity brak makijażu dopełniał jej dziewczęcy wygląd.

– Przepraszam, musiałam wytłumaczyć pewnej parze, dlaczego ich całkiem zdrowy syn odszedł we śnie.

– No tak, nikt z nas nie pracuje w spa... choć może niektórzy by woleli – skwitowała Modra. Dymek nie był pewien, czy prokurator pije do jego wtopy z brakiem ran na ciele denata, czy mówi o sobie, a może o lekarce.

– Myślałam, że na lunch skoczymy raczej po oględzinach – rzuciła ciszej Szołkiewicz, ale Barbara Mo-

dra nie odpowiedziała. Podała lekarce kombinezon ochronny i pomogła jej nawet uporać się z opornym zamkiem.

– To może, żeby nie tracić więcej czasu, poprosimy panią doktor o podanie godziny zgonu. Ale takiej w miarę dokładnej.

– Paaani prokurator... – Lekarka uśmiechnęła się, a jej pełne wargi odsłoniły długie, białe zęby. – Pani to lubi sobie ze mnie żartować. A przecież dobrze pani wie, że określanie dokładnego czasu zgonu to wymysł z seriali

paradokumentalnych. – Szotkiewicz zerknęła na skonsternowanego Dymka i kontynuowała swój wywód w jego kierunku. – Najlepszym wskaźnikiem jest oczywiście pomiar ciepłoty zwłok, ale wciąż daleko mu do miarodajności. No dobrze... – Szotkiewicz oparła ręce na biodrach. – Jeśli państwo skończyli swoje czynności, a denat i tak jest półnagi, to obróćmy go na brzuch.

Dymek nie mógł oderwać oczu od rąk lekarki.